

HISTORYK STORY

Aneks do „Łaknienia” Erwina Kruka

– *Gdzie byłeś, Adamie? – zapytasz doktora Adama Kalwę, historyka.*

A on ci odpowie: - Na wędrówce w głąb życia. Aż wróciłem drogami o świecie.

– *Czy rzeczywiście wróciłeś?*

– *Nie wiem. Nie mam już siły. Jestem chyba zmęczony – odpowie ci jeszcze.*

Nie pytaj go o nic więcej, bo on naprawdę nie wie, on w przeszłości się zagrzebał, a teraz zewsząd słyszy głosy: „*To, za czym gonisz, to przecież złuda. Gdzie jesteś, Adamie Kalwa? Co zrobiłeś ze swoim życiem?*”. A on, doktor Adam Kalwa, zasłużony historyk, zakrywa tylko twarz dłońmi i powtarza: „*Jestem starym schorowanym człowiekiem. Jestem starym schorowanym człowiekiem!*”.

Erwin Kruk uczynił historyka bohaterem swej rozliczeniowej powieści nieprzypadkowo. Jest bowiem historyk, doktor Adam Kalwa – zaopatrzony jak trzeba w normalne ludzkie przymioty – postacią tkwiącą, z racji zawodu i uprawianej działalności naukowej, szczególnie głęboko w spuściznie trzydziestu kilku lat powojennych dziejów nie istniejącego obecnie regionu Warmii i Mazur. Jest, bo tak zechciał Kruk. I dobrze wiedział, co robi. Badacz psychiki i zachowań ludzkich wziął pod lupę badacza faktów. Po to również, by ponownie przyjrzeć się faktom. W osobie głównego bohatera znalazł Kruk zdezorientowanego cokolwiek przewodnika po opłotkach zakłamań, niedomówień (to z Kruka), powierzchowności i niezrozumienia w opisywaniu dziejów tej ziemi i tego ludu przez polską historiografię. Dzięki błędzeniu Adama Kalwy więcej możemy dostrzec i więcej przyswoić zagadnień, bez znajomości których nie ma mowy o właściwym odczytaniu książki. Oczywiście, każdemu wolno „Łaknienie” przeczytać, jednak adresatem powieści nie jest czytelnik jako taki, lecz grupa ludzi dzielących swój czas między czytanie i pisanie o problemach wąskich w gruncie rzeczy, i – bez odpowiedniego przygotowania – nieprzyswajalnych. Owi wybrańcy Kruka, zamknięci na kartach książki i stojący po drugiej, „rzeczywistej”, stronie, otrzymają chyba możliwość odnalezienia się w świecie prawdy, możliwość rehabilitacji po prostu. A Kruk właśnie rzuca im wyzwanie.

Autor „Łaknienia”, wyróżniany przez krytyków za umiejętność pogodzenia refleksji historycznej z wymogami beletrystyki, dokonał wiwisekcji zbiorowego ciała, w sposób chwilami bezwzględny, na pograniczu demaskatorstwa i obserwacji naukowej. Skrupulatne odtwarzanie olsztyńskich realiów, przeplatane spostrzeżeniami uniwersalnymi, częste zmiany czasu i miejsca, „głosy” nawiedzające Adama Kalwę – echa minionych lub wymyślonych rozmów – wszystko to przecież ma spójność

klasycznej tragedii, gdzie chór prowadzi widza od prologu do nieszczęśliwego końca. Jedynym zakłóceniem przejrzystego świata różnorodnych postaci, jakie muszą pojawić się u Kruka, jest akurat osoba głównego bohatera, chwilami aż nienaturalna i, zdawałoby się, nielogicznie skonstruowana. Rozważa Adam Kalwa przerażająco świadomie: *„Wmawiamy im [Mazurom], jakiego dobrodziejstwa się doczekali tęskniąc za Polską, a gdy wspominamy te wielowiekowe boje o język polski, niejednokrotnie wyrażamy zdziwienie, że oni niczym barbarzyńcy nie potrafią tego dobrodziejstwa, jakie im dajemy, docenić i że choć przez tyle wieków mieszkali na tej ziemi ich przodkowie, oni swych barbarzyńskich odruchów nie potrafią wciąż jeszcze ukryć i stąd wyjeżdżają?*

Czyżby nie chcieli naszej, aż tak nadmiernej opieki? A może to, że wyjazdy tłumaczymy względami ekonomicznymi, jest nam potrzebne dla spokoju sumienia?'

I jest dobrze.

A kilka stron wcześniej odnajdujemy go na zupełnie nieznanym planecie, w rozmowie z profesorem Majskim: „Pan żartuje, panie profesorze, przecież tu tyle śladów polskości. Dzięki temu wróciliśmy tu w czterdziestym piątym”. I nie ma tutaj żadnego znaczenia, iż pierwsze zostało powiedziane po drugim. Naukowiec, doznawszy nawet nagłego olśnienia, nie zmieni swych poglądów od razu i na zawsze. Musi najpierw wszystko rozważyć. Odpowiedzialność za ogłoszone słowo jest wielka i długotrwała, a każdy pogląd – słuszny lub bzdurny – powróci do rozmaitych nowych prac w części zwanej „stanem badań” lub „literaturą przedmiotu”. Toteż przetarcie oczu przez Adama Kalwę to epizod, o którym zapomnieć może sam sprawca.

Aby ułatwić czytelnikowi, temu z własnej woli, kontakt z mikroświatem historyków regionalnych, Erwin Kruk obdarzył doktora Adama Kalwę osobowością posklejaną z kilku odmiennych. Zaskakuje więc doktor Kalwa swą chimerycznością niekoniecznie dlatego, że jest typem niezrównoważonym, lecz po to, by zaoszczędzić wprowadzania nowych postaci. Zauważmy, że do scharakteryzowania aktywnego olsztyńskiego środowiska naukowego potrzebował Kruk zaledwie trzech, a właściwie dwóch historyków (gdyż, jak sądzę, profesor Majski nie jest z Olsztyna). Profesor Majski, dyrektor Brombek i doktor Kalwa. Ten sam krąg zainteresowań, głównie wiek dziewiętnasty. *„Tu i ówdzie bąkano co prawda, jakoby zrozumienie tego, co stało się w dziewiętnastym wieku, było kluczem, który otwiera bramy prowadzące do prawdy o ludzie mazurskim”* – myśli doktor Kalwa obłożony jeszcze zastrzeżeniami (a może to tylko sprawa języka prac naukowych?), mogą być jednak pewny, że wkrótce przyjmie to za swoje. Wszak jest specjalistą tych zagadnień i na pewno zbada rzecz do końca.

Wróćmy jednak do naszej trójki badaczy. Nie wiemy nic bliższego o Majskim i Brombeku, ale nie będzie błędem zrównanie wszystkich do jednej (naukowej) generacji. Nieco późno objawiona iskra boża doktora, błyskotliwy profesor i zasłużony dyrektor-społecznik. Raz tylko dochodzi na kartach książki do konfrontacji w komplecie; Kalwę z dyrektorem spotykamy kilkakrotnie. I znów pojawia się zastanowienie: dlaczego Kalwa, który Majskiego nazywa swoim mistrzem, trzydzieści lat żyje w świecie mitów, podczas gdy pozostałym ciąży od dawna świadomość tragicznego pomieszenia celów, metod, doktryn i skutków uprawianej działalności? Czyżby naszego bohatera cechowała święta naiwność dziecka, czy też przez mgłę archiwaliów tak trudno dostrzec przeszłą i teraźniejszą rzeczywistość?

Kruk oszczędza świadomych. Majski, na wystąpienie Kalwy o śladach polskości, odpowiada tylko: „Śladów...”. A za dorobek życia ma metodę papierka lakmusowego. Wspaniale oddziela swoje „ja” prywatne od naukowego. Tak wspaniale, że Kalwa przypadkowe obnażenie przez niego poglądów na własny użytek – bierze za złośliwość losu, który miałby postawić profesora wobec faktu poddania w wątpliwość swego profesorskiego credo. Brombek jest dyrektorem, i o jego dorobku nic nie wiadomo. Cenna może okazać się konstatacja, iż nie ma sobie do zarzucenia tego, co wytyka Adamowi Kalwie: *„Poczytaj swoje pierwsze publikacje. Słowa przecież zostają. Ale co zrobić, jeśli one skrzywdziły ludzi?”*. W dodatku Brombek rozumie, że *„historia nie jest ferowaniem wyroków ani uporczywym udowadnianiem propagandowych tez”*. Czyli – uczciwy, spokojny człowiek, a więc w połowie taki, jakim powinien być historyk.

Czymże jest – cudowne pytanie – uczciwość historyka z kart „łaknienia”? Historyk Adam Kalwa do wiadomości przyjmuje fakty. Na faktach buduje wnioski, te z kolei składają mu się w obrazy. Razem – właściwe (czytaj: uczciwe) postępowanie historyka: wyjaśnić znaczenie i ukryte treści rozpoznanych faktów. Przychodzi jednak chwila, gdy Kalwa zdaje sobie sprawę, *„że w tym wyjaśnianiu nie chciał iść do końca”*. To są już co prawda subtelności, wobec spraw natrętnie wysuwających się na plan pierwszy, śmiało ostatnio krytykowanych. Owe sprawy (przypominam za Brombkiem): działalność naukowa w służbie propagandy oraz wystawianie gotowych cenzurek na użytek czytelnika-konsumenta wyników prac historycznych, zanurzone są w otocze wątpliwości natury etycznej, kiedy to określenie dobra – a zatem również uczciwości – wymaga rozważenia argumentów za i przeciw, „w określonej sytuacji” społecznej, politycznej etc., i wreszcie subiektywnego wyboru. Zjawisko stare jak świat: na wymowie opracowań historycznych ciąży znamiona czasu, w jakim przyszło owym opracowaniom powstawać, a zwłaszcza program polityczny władzy. Zarzut przedmiotowego traktowania historii wziął się ze służebności względem oczekiwień

władzy, skąd bierze się także zawężenie pola naukowych obserwacji. Głównie wiek dziewiętnasty, gdyż taka była potrzeba lat powojennych. *„Po wojnie wszystko było prostsze. Byli ludzie, była akcja repolonizacyjna, była ziemia”*.

Uczciwość, jak się okazuje, ma dwie strony. Uczciwy dyrektor Brombek nie przyczynił się do fałszowania historii, ale też nie zrobił niczego, by pracowity chór nie piał jednobrzmiąco. Majski, wobec którego Emil Pulina wypominał główne słabości metodologii badań historii regionu, ma oczy otwarte i jasno w głowie, a przecież był ojcem chrzestnym błędów i wypaczeń. Przejmująco w tej sytuacji odbija się pytanie Kalwy: *„Na Boga, gdzieście byli, gdy trzeba było robić i błędzić?”*.

Cóż więc działałeś, Adamie Kalwa? Co zrobiłeś ty i twoi koledzy? Czy tylko *„siedzisz w historii, w zeszłych wiekach, i szukasz argumentów”*, a *„władza korzysta z twoich wypocin”*? Brombek powiada: *„Jest ziemia, są prace naukowe. Ale to wszystko”*. Kruk uzupełniłby: *„Jest ziemia, byli i są jeszcze ludzie. Trzeba wszystko zaczynać od początku”*. A czas nagli. Jest już bardzo późno. Ludzie bowiem odchodzą. Odchodzi pomału także pokolenie badaczy, którzy nie wykorzystali szansy danej im przez los. Co gorsza, oni mogli i byli w stanie, następcom zaś będzie bardzo trudno dostąpić należytego zbliżenia ze środowiskiem, którego sprawy będą opisywać. Ginie tradycyjny krajobraz, siedlisko historycznych wydarzeń; postępująca laicyzacja odsuwa przyszłych badaczy od zrozumienia życia duchowego i umysłowego tamtych ludzi, zanika więź emocjonalna z tym, co było. Na wymarciu jest tradycyjnie pojmowany regionalizm, a z chwilą, gdy zastąpiony zostanie nową formułą – ta przeszłość, o którą nam chodzi, zniknie, jak zniknęli Prusowie, jak zniknęła potęga zakonu krzyżackiego, zaborcze państwo pruskie, akcja germanizacyjna i akcja repolonizacyjna. Tylko wnuk Majskiego, porządkując po latach materiały profesora, odnajdzie zapewne karteczkę z zapiskiem: *„Tu kiedyś żyli ludzie”*.

„I będzie to jak początek bajki”...

Pokolenie Kalwy zgromadziło kartoteki faktów, specjalistyczne biblioteki i archiwa, zorganizowało warsztat naukowy do badania faktów w zakresie, jaki był mu potrzebny. Jest to dorobek nie do podważenia, wymierny, liczony w latach benedyktyńskiej nieraz pracy. Być może, zdąży jeszcze dokonać się bezpośrednia zmiana generacji faktografów na odważniejszych interpretatorów. Jeśli jednak nastąpi, to jedynie w kilku szczegółowych, zawężonych dziedzinach. W pozostałych przyjdzie zaczynać *ab initiam*, walcząc z czasem, który zaciera, aż wreszcie obraca w niepamięć. Pośpiech, tak zgubny dla historyka Adama Kalwy, powinien, niestety, cechować również pracę jego następców, w przeciwnym bowiem razie miast historii życia otrzymamy historię zamierzchłej cywilizacji, a tym samym zerwie się gdzieś ciągłość dziejów. Kto wtedy

będzie mógł powtórzyć słowa pastora Moldy: *„To jest nasza ojczyzna. Dziedziczymy z niej wszystko. I dobro, i zło”*?

Kreślę tutaj wizję, która nie powinna się spełnić. Działają wszakże Paweł Molda i Emil Pulina, przebiega co jakiś czas naładowany nowymi pomysłami Karol Witram. Jest Koriot, o instynktownym poczuciu swego rodowodu. Historycy-amatorzy, pasjonaci nie nauki, lecz odsłanianego przez nią życia. Niepokoją Kalwę ciągłymi pytaniami, śledzą bieżące wydarzenia w mikroświecie naukowym i uczestniczą w nich. Stale są pełni wątpliwości, ale też pełni wiary w sens działania. W takim otoczeniu nawet rzeczowy i powściągliwy doktor Kalwa miewa chwile naukowej słabości: *„Nad ranem znów przyszedł krótki sen. (...) Widziałem twarze ludzi, którzy nie zwracali na mnie uwagi. Ktoś stał przy mnie i podawał imiona: Glabune, Nature, Swayprote, Jurge, Joduta syn Guntego, Arno, Naprom, Gaylin”*. Widzieć ludzi – to rękojmia wydobycia się poza suchą wymowę faktów, to postawienie człowieka u prążyć faktów, a nie tylko wobec ich zaistnienia. Historii-nauce potrzebni są badacze o romantycznym sposobie postrzegania, obdarzeni wyobraźnią, niemalże zmysłem identyfikacji z badaną epoką. Zostać historykiem – znaczy obecnie: odbyć studia w tej dziedzinie i zadeklarować wolę pracy naukowej. Nie wymaga to szczególnych predyspozycji naturalnych ani osobistego emocjonalnego zaangażowania. Ot, rutyna: znajomość literatury i archiwaliów, autorytet podbudowany liczbą publikacji – tworzą prestiż historyka w świecie ludzi jemu podobnych. Nie taki historyk, zdaniem Kruka, tworzyć będzie w regionie nowy obraz matki nauk.

Adam Kalwa miewa już przebłyski, kiedy to pod baśniowo brzmiącymi imionami odkrywa nagle ludzi. Po chwili wprowadzie górę bierze jego chłodny racjonalizm, gdy zapisywaniu imion towarzyszą słowa: *„Nigdy nic nie wiadomo”* – słowa które oby jak najczęściej drażniły umysły historyków regionalnych. Adam Kalwa jest też niedaleki spełnienia drugiego warunku, jaki Kruk stawia przed historykiem: wraz z odnalezieniem tożsamości doznać może objawienia, ujrzeć na nowo sens, potrzebę i słuszność w poświęceniu się dla odgrzebywania prawdy z popieliska, które sam był wcześniej zgotował. Będzie to oznaką zrodzenia się więzi uczuciowej, łączącej historyka nie z nauką, lecz ze sprawą. Nauka znów pozostanie instrumentem, jako sposób działania. Gdzieś jednak ujrzemy ją tryumfującą: wszak to spełniają się jej odwieczne postulaty.

Dziś doktor Kalwa, zasypując słowami podświadome wyznanie miłości do ziemi ojców, oddala chwilowo moment objawienia. Na nic ten wysiłek, bo uciec od siebie niepodobna. Tak jak Kruk-pisarz nie ucieknie od historii, tak Kalwa i jego koledzy muszą zbliżyć się do siły przekonywania literatury. Historia-nauka na tym nie straci, są bowiem obszary, gdzie znajomość jej reguł i „aparatu naukowego” jest tylko

krępującym balastem. Rzeczywiście: łatwiej formułuje wnioski umysł ruchliwy i swobodny niż potrafiłby to umysł obciążony uprzedzeniami lub nadmierną wiedzą. Morał z tego żaden. I tak każdy historyk uprawiać będzie swoje poletko w miarę sił i przyrodzonych możliwości.

1981

POSŁOWIE z „Borussii” 1991 nr 1

Gdy przed dziesięcioma laty powyższy tekst obiegał redakcje ogólnopolskich tygodników kulturalno-społecznych (gdzie go nie przyjęto, ponieważ wcześniej tamże ukazały się recenzje) w Olsztynie panowało na temat powieści Kruka powściągliwe milczenie. „Gazeta Olsztyńska”, piórem Jana Kaczyńskiego, odnotowała ukazanie się książki, aż dziw jednak, że nie zauważono jej walorów pozaliterackich.

Przedostatnia, jak dotychczas, powieść autorstwa mazurskiego pisarza nie dorównuje być może jako dzieło prozatorskie wcześniejszej o pięć lat „Pustej nocy”, pozbawiona też jest – tak cenionych przez czytelnika – wątków osobistych: biograficznych i refleksyjnych, z których notabene składa się wydana przed niespełna dwoma laty „Kronika z Mazur” tegoż autora, zawiera jednak inne, bardzo istotne wartości. Pozornie powieść „z kluczem”, napisana z dużym ładunkiem emocji i wpisująca fabułę w pewne konkretne, jakby rekonstruowane sytuacje, jest bowiem swoistym manifestem, wyzwaniem rzuconym przez pisarza ludziom, których „słusznie ukierunkowana” praca badawcza przez dziesięciolecia wykorzystywana była do udowadniania politycznych racji. Ważny był moment ukazania się tej książki Kruka, zaiste szczególny (jesień 1980), objawiający się wyjątkowo ciekawym wówczas „stanem umysłów”, odnowieniem sporów wokół tzw. sprawy mazurskiej; okres oswojania obcej do tego czasu – bo niemieckiej i luterskiej – części spuścizny kulturowej ziem zwanych Warmią i Mazurami.

Fikcja literacka sprzęgła się z rzeczywistym biegiem wydarzeń... W dużym uproszczeniu i z krzywdą dla materii pisarskiej można by nazwać „Łaknienie” książką rozliczeniową, ponieważ zarzuty i zastrzeżenia, jak też uznanie ze strony autora, były kierowane jasno i pod określonym adresem. Jako mieszkaniec Olsztyna od kilku zaledwie lat, nie miałem wątpliwości, kim są powieściowi: Adam Kalwą, profesor Majski, sekretarz Lawiński, Karol Witram, Emil Pulina, pastor Molda a nawet Szymon Moryt. Niezwykle trafny dramaturgicznie pomysł z pożarem letniskowego domu Kalwy, w którym spalone zostały wyniki trzydziestoletniej żmudnej (lecz czy zupełnie

zmarnowanej?) pracy doktora, jakby antycypował los jednego z autentycznych bohaterów zmagających o świadectwo prawdziwego, cenionego i szanowanego w Olsztynie historyka. Główni bohaterowie powieści, nadal czynni zawodowo, otrzymali od losu także niespodziewaną i łaskawą szansę pełnej rehabilitacji.

Im dedykuję tę, jak sądzę, nadal aktualną wypowiedź sprzed lat dziesięciu.

POSŁOWIE maj 2017

Pożegnaliśmy Erwina Kruka 7 kwietnia w nastroju podniosłym, przy śpiewaniu psalmów, słowie wypowiedzianym przez biskupa Rudolfa Bażanowskiego, przemowach oficjeli, przyjaciół (m.in. prof. Janusza Małłka) i współpracowników, i na koniec – chwytającym za serce wierszu Zbigniewa Chojnowskiego. Przypomniano zasługi wielkiego Mazura, jego dorobek pisarski, inne osiągnięcia i zaszczyty. W kościele luterańskim w Olsztynie zebrali się ci, którym leży na sercu krzewienie wiedzy o Mazurach i Warmiakach, budowanie pomostów między przeszłością a teraźniejszością, zachowanie tożsamości regionu. Wśród nich beneficjenci pisarza, do których się zaliczam. (Będąc autorem kilkunastu pozycji książkowych, w Polskiej Bibliografii Literackiej występuję tylko raz – z powyższym tekstem o książce Kruka). Nie było – oczywiście w realnym wcieleniu – Majskiego, Brombeka ani Kalwy, którzy nie mogli pojawić się z przyczyn naturalnych.

Nie mówiono o Mazurach (ludziach) obecnie. Czy znaczy to, że dzieci i wnuki pokolenia odchodzących Mazurów nie są już Mazurami? Pytałem o to Erwina Kruka na jego wykładzie w naszym zamku we wrześniu 2015 r. Odpowiedź nie była jednoznaczna, odniosłem wrażenie, że Mazur Erwin Kruk albo uznaje dzieje Mazurów za zamkniętą kartę, albo uważa, iż nowe pokolenia mają prawo i wolną wolę określić się same. Jeżeli tak – oczekuję na słowo w tej sprawie Tomasza Kruka, w imieniu własnym i rodziny. Niech się wypowie Wiktor Marek Leyk.

Tymczasem wracam do przedmiotu niniejszej rozprawki. Po 1990 r. Erwin Kruk już nie czekał na historyków ani ich ponaglał, lecz sam chwycił za cięższe (w przeciwieństwie do lotnego) pióro. Parał się eseistyką i publicystyką historyczną na łamach czasopism. Sięgałem po jego teksty w „Pomeranii” (cykl „Z mazurskiego brulionu”) i „Gazecie Olsztyńskiej”. W tej drugiej Kruk ogłosił m.in. szkic „Portrety i epitafia” (nr 213 z 30 X/1 XI 1998 r.; cykl „Z mazurskiego brulionu”), w którym postulował, aby zgromadzić w jednym miejscu i stale eksponować grupę portretów „duchownych ewangelickich, którzy w tej odległej epoce [XVII i XVIII w.] pełnili swą

służbę w mazurskich parafiach”. Mowa oczywiście o portretach w zbiorach Muzeum Warmii i Mazur. Akurat w tym czasie wszystkie „mazurskie”, kwalifikujące się do eksponowania, w liczbie trzech, były udostępnione publiczności. Dwa (Jerzego Andrzeja Helwina i Krzysztofa Wannowiusa) znajdowały się na przygotowanej przeze mnie w 1995 r. stałej wystawie „*Sztuka Prus Książęcych XVII–XVIII w.*” w Muzeum im. Johanna Gottfrieda Herdera w Morągu, oddziale MWM. (Biografowie pisarza wiedzą, jak ważny był Morąg w jego życiu). Konterfekt Jana Krzysztofa Surminskiego alias Szurmińskiego aż do ubiegłego roku był eksponowany w Muzeum Mazurskim w Szczytnie, oddziale MWM. Czym prędzej napisałem dwustronicowe sprostowanie, jednak „Gazeta” postawiła warunek, że albo je skrócę o połowę, albo się nie ukáže. Zapoznałem Erwina Kruka z proskrybowanymi portretami dopiero przy okazji jego wykładu o diakonie poecie Sebastianie Trescho w morąskim zameczku Dohnów 25 października 2002 r. W drodze do i z Morąga mogliśmy wyjaśnić sobie kilka spornych kwestii, jak ta dotycząca granic Mazur, historycznych i obecnych.

W działalności pisarskiej autor „*Łaknienia*” stanął w szranki z profesjonalnymi historykami od razu na obu polach: badań i popularyzacji. Na pierwszym brał na warsztat zarówno zagadnienia ważne, wymagające mądrego, kompetentnego i osobistego podejścia do tak określonego tematu („*Ewangelicy olsztyńscy w czasach totalitaryzmu...*”), jak i czysto „materiałowe”, oparte na szczegółowych kwerendach własnych („*Książka Otton Wittenberg...*”). Na drugim – kontynuował działalność swych braci w wierze (książka „*Ewangelicy w Olsztynie...*” jest częściowo adaptacją, a w dalszym toku kontynuacją kroniki autorstwa pastora Johannesesa Hassensteina) oraz przejmował inicjatywę w ukazywaniu Polakom naszego nieodmiennie fascynującego regionu („*Warmia i Mazury*”, w renomowanej serii „*A to Polska właśnie*”). Kiedy wertuję tę ostatnią – ostatnią z wymienionych – pracę, myślę sobie, czy zrobiłbym to lepiej? Z pewnością dopilnowałbym redakcji podpisów pod ilustracjami (liczne błędy i przeinaczenia faktografii), za które odpowiada niewątpliwie edytor – Wydawnictwo Dolnośląskie z Wrocławia. Książka jest ciekawa, bogata i różnorodna pod względem treści, cechuje ją wartka narracja podbudowana indywidualnym autorskim sposobem przekazywania wiedzy.

Właściwie to powinienem tutaj napisać, czy i co się zmieniło w praktykowaniu historiografii regionalnej od 1980 r., ale to temat na opasłą księgę (a nie jestem przekonany, czy należy trwonić na nią siły i cenny czas). Jak wygląda kondycja i sposób na uprawianie zawodu autorów piszących obecnie, można prześledzić na przykładzie nowej generacji monografii miast, w opracowaniu zbiorowym, od Olsztyna (2003) po Kętrzyn (2016), ze szczególnym wskazaniem na Lidzbark Warmiński (2008–

2011) i Olecko (2010). Wiem, że w dalszym ciągu ukazują się książki, które nie tylko nic nie wnoszą do badań, ale są wręcz szkodliwe z powodu szkolnych błędów i braku jasnego – a nawet jakiegokolwiek – odautorskiego przekazu. Gdyby je wydawano za czyjeś prywatne uczciwie zarobione pieniądze, można by mówić o rozrzutności sponsora. Jeżeli jednak łoży na nie instytucja z nazwy naukowa – jest to naganne marnotrawienie środków publicznych. Rzeczywistość skrzeczy.

Andrzej Rzempełuch

Nota bibliograficzna dot. wzmiankowanych pozycji autorstwa Erwina Kruka:

- *Ewangelicy olsztyńscy w czasach totalitaryzmu i wymiany ludnościowej XX w.*, [w:] *Ewangelicy na Warmii i Mazurach. Dzieje i współczesność*, red. E. Kruk, Olsztyn 2001, s. s. 59–74.
- *Ewangelicy w Olsztynie. Z dziejów parafii w latach 1776–2002*, Olsztyn: Mazurskie Towarzystwo Ewangelickie 2002. – 157 s.
- *Warmia i Mazury*, Wrocław: Wydawnictwo Dolnośląskie 2003. – 268 s.
- *Ksiądz Otton Wittenberg – weteran pracy na niwie Pańskiej*, [w:] *Ewangelicy duchowni i parafianie. Powojenne lata w Olsztynie i na Mazurach*”, Olsztyn: Mazurskie Towarzystwo Ewangelickie 2007, s. 47–64.

Wykłady Erwina Kruka w Muzeum im. Johanna Gottfrieda Herdera w Morągu:

- *Morąski diakon Sebastian Fryderyk Trescho i jego związki z Herderem*, 25 października 2002 r. („Dni Dziedzictwa Kulturowego”)
- *Johann Gottlieb Willamovius – twórca dytyrambów*, 2002 r.
- *Duchowość protestancka w czasach Herdera* („Wieczór w Muzeum” z okazji 200. rocznicy śmierci J. G. Herdera), 18 grudnia 2003 r.